

**SŁUŻBY SPECJALNE**  
**WYWIAD WOJSKOWY**

Ronald Yust

**SZPIEG A**

**TOŻSAMOŚĆ**



e-book  
**ASTRUM**  
M E D I A  
[www.astrummedia.pl](http://www.astrummedia.pl)

powieść o życiu  
super szpiega

# **TOŻSAMOŚĆ SZPIEGA**



Ronald Yust

# TOŻSAMOŚĆ SZPIEGA

e-book

ASTRUM

M E D I A

[www.astrummedia.pl](http://www.astrummedia.pl)

W R O C Ł A W

© Copyright by Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.

*Wszelkie prawa zastrzeżone*

Redakcja

JOLANTA TKACZYK

Redakcja techniczna

ELŻBIETA BURSZTYNOWICZ

Projekt okładki

DACJAN DOMAGAŁA

Wydanie II

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana,  
w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób,  
włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu  
innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy*  
(art. 116, 117 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych  
z dn. 4.02.1994 r.)

Zamówienia na książki można składać  
przez Internetową Księgarnię Wysyłkową  
[www.wydawnictwo-astrum.pl](http://www.wydawnictwo-astrum.pl)

Zapraszamy do zakupu naszych książek, multimediiów,  
słuchowisk, poezji śpiewanej w formie e-booków i e-audiobooków  
na platformach cyfrowych

**Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.**  
**50-374 Wrocław, ul. Norwida 19/6**  
**e-mail: [handlowy@astrum.wroc.pl](mailto:handlowy@astrum.wroc.pl)**

ISBN 978-83-64786-16-7

# ŚMIERĆ W PEŁNYM SŁOŃCU

*Aleksandria, przedmieścia Waszyngtonu,  
sierpień 1994*

Za przyciemnianych szyb czarnego dżipa zaparkowanego dyskretnie w bocznej uliczce można było bez trudu obserwować okolicę. Właściwie nie było chyba żadnego konkretnego powodu, by obserwować akurat ten fragment miasta. Przy żadnej z pobliskich ulic nie mieszkał nikt sławny ani wpływowy. Nie działo się tutaj nigdy nic szczególnego. Co najwyżej jakaś szalona grupka studentów trenowała wyścigi w samej bieliźnie w środku nocy między budynkami kampusu. Albo inna grupka wspinała się na okoliczne latarnie, żeby z wysokości kilku metrów celować kolegom strumieniami spienionego piwa wprost do szeroko rozwartych paszczy. Nie były to jednak incydenty dość interesujące dla przeciętnego człowieka, a już zdecydowanie nie nadawały się na materiał do obserwacji.

Palce w czarnych, skórzanych rękawiczkach nerwowo wystukiwały rytm na kierownicy dżipa. W środku było upiornie gorąco, jak w puszcze zupy pomidorowej postawionej na gorącej płycie kuchenki. Mężczyźni w samochodzie naprzemiennie ocierali z czoł obficie spływający pot, wciskając kawałki tkaniny głęboko do kieszeni kurtek tak, aby nawet jednak kropla nie spadła na tapicerkę czy deskę rozdzielczą. Nie wolno zostawiać śladów. Do końca muszą pozostać nieodkryci.

Siedzieli w milczeniu, zupełnie jakby obawiali się, że zbyt głośno wypowiedziane słowo mogłoby ściągnąć uwagę niepo-

żądanych gapiów, jakby szczelnie zasunięte kulo odporne szyby nie stanowiły wystarczającej bariery oddzielającej od świata zewnętrznego.

Z tej odległości dało się widzieć zaledwie zarysy kilku postaci stojących na rogu budynku. Ale to całkowicie wystarczyło, żeby dwóch ludzi w dziupie kontrolowało sytuację. Świetnie wiedzieli, którego z młodzieńców nie wolno im spuścić z oczu.

Pięcioro przyjaciół, wszyscy młodzi i piękni, smukli i wysportowani; dwie dziewczyny i trzech chłopaków, prawdopodobnie studenci tutejszej uczelni. Rozmawiali energicznie gestykulując, śmiali się, poszturchiwali, nie trzeba było słyszeć ich rozmowy, by zauważyć, że znają się od lat i czują dobrze w swoim towarzystwie.

– No weź, Waldek, nie bądź nudziarz, gdzie ci nagle tak spieszo? Przecież obiecałeś! – odezwał się blondynek w białej koszulce jeszcze bardziej podkreślającej opaleniznę. – Wyzwanie jest wyzwaniem, chyba, że cykor cię obleciał!

Całe towarzystwo wybuchło gromkim śmiechem, chłopcy przy tym poklepywali się po ramionach, dziewczęta zaś wstydliwie zasłaniały usta i tylko oczy zdradzały tryskającą wesołość.

– Pewnie się na randkę umówił z jakąś super-lalą i nie chce nam pokazać, żebyśmy jej nie spłoszyli? – roześmiał się drugi, krótko ostrzyżony, czarnooki, nie mniej śniady, z deską surfingową pod pachą.

Ten, do którego się zwracali uciekał wzrokiem gdzieś na boki tylko niespokojnie przełykał ślinę. Milczał.

– Ty, a może ty wymiękasz, co? – roześmiał się znowu blondynek przeczesując palcami czuprynę.

Dziewczęta chichotały cichutko szepcząc sobie coś na boku

i wstydliwie spuszczać wzrok. Poprawiały falbany spódniczek i ramiączka letnich bluzeczek, zakładały na uszy niesforne kosmyki włosów. Waldek spojrzał nagle jednej z nich prosto w twarz i nie odrywając wzroku od jej szafirowych oczu odpowiedział koledze, choć wygłądało to tak, jakby mówił do dziewczyny:

– Ja się Łysego nie boję, jak chce, mogę mu nawet dać fory, ale nie teraz. Najpierw muszę załatwić jedną sprawę...

Rudowłosa dziewczyna zachichotała cienko, ale widząc powagę koleżanki, brunetki o szafirowych oczach, nagle zamilkła. Zupełnie jakby ktoś odciął jej śmiech ostrym nożem.

– No, dobra, to leć jak już musisz... – westchnął chłopak z deską surfingową. – Ale pamiętaj, że dziś wieczorem u mnie impreza! Z tego to już się nie wymigasz stary, impreza bez ciebie to nie impreza!

– No dobrze, już dobrze, przecież przyjdę! – machnął ręką Waldemar odwracając się na pięcie. – Cześć!

Waldek pożegnał kolegów uściskiem dłoni, a koleżanki przyjacielskim pocałunkiem w policzek. Chociaż nigdy nie miał w zwyczaju żegnać się w ten sposób (uważał, że to niemęskie, że tak żegnają się tylko dziewczyny), tym razem nie omieszkał sprowokować okazji, by jego kontakt fizyczny z uroczą koleżanką nie ograniczył się jedynie do markowanego pocałunku pożegnawczego, będącego w istocie tylko młasnieniem ust w powietrzu, pięć centymetrów od policzka. Tymczasem dłoń z tyłu, niby to obejmująca ramię dziewczyny, w ułamku sekundy zjechała na pośladek i została tam przez dobrą sekundę. Mogła zareagować oburzeniem. Tak się jednak nie stało. Gdy ponownie spojrzał jej w twarz, zauważył nawet jakiś nowy blask w oczach i miał wrażenie, że uśmiech Margareth był bardziej promienny.



„Dobra jest – pomyślał odwracając się na pięcie. – Jeszcze tego wieczoru będzie moja! Tylko najpierw pokażę wszystkim gnojom śmierdzącym, gdzie raki zimują, a potem balanga, chłania i dymanie! A szykuje się najlepsze dymanie wszechczasów!”

Waldemar westchnął z gorzkim uśmiechem, którego nie dostrzegł nikt z rówieśników.

„Byłoby najlepsze dymanie – pomyślał. – Byłoby, ale nie będzie, niepotrzebne całe te podchody. Będzie tysiąc innych panienek, może nawet i lepszych niż Margareth, ale ona, Maggie na zawsze pozostanie poza moim zasięgiem. Tak już musi być, żeby życie toczyło się dalej...”

Spiesznym krokiem przeszedł przez ulicę. Nawet nie rozejrzał się przed wkroczeniem na jezdnię. Pędził jakby przed kimś uciekał, jednak nim jeszcze zniknął za zakrętem, młodzi ludzie zdążyli dojrzeć dopędzający go z zawrotną prędkością czarny samochód. Dżip z przyciemnianymi szybami nagle wjechał na chodnik i próbował staranować młodego chłopaka, który widząc to rzucił się do ucieczki. Nie zdążył. Samochód z impetem uderzył w niego. Ciało Waldemara wyleciało w górę jak kopnięta piłka. Samochód przejechał kilka metrów, ciało opadło bezwładnie na trotuar, od którego odbiło się jeszcze niewysoko. Chłopak zdołał jeszcze podnieść się i kulejąc, lewą ręką trzymając się za prawy łokieć, nienaturalnie zgięty w pół, zniknął za rogiem.

Obserwujący scenę z drugiej strony ulicy przyjaciele patrzyli z niedowierzaniem, to na czarnego dżipa, to na siebie nawzajem.

– Za nim! – krzyknął brunet, gdy ich kolega zniknął za rogiem ulicy.

Znajdowała się tam apteka, może więc uda im się pomóc rannemu koledze. Tylko dłączego samochód z zawrotną prędkością pomknął za nim?

Gdy dotarli na miejsce, z odległości kilkunastu metrów widzieli już tylko wijące się w konwulsjach ciało, które zamiast twarzy straszło wielką, jaskrawą raną, widoczną z daleka, niczym krwiste purpurowy kwiat raflezji..

Nim ustały drgawki, czarny dziup wycofał gwałtownie przejeżdżając masywnymi kołami po głowie żywego jeszcze człowieka, po tułowiu i po nogach leżącego, miażdżąc ciało i nasączając letnie ubranie strugami krwi. Jasne, bawełniane spodnie i podkoszulka stały się momentalnie ciemne od obficie wsiąkającej krwi, wyciskanej z młodego ciała przez koła masywnego pojazdu tak, jak wyciska się wodę z gąbki w głębi oceanu. Cienka tkanina nie była w stanie zaabsorbować tak wiele krwi, toteż wokół szybko zaczęło się tworzyć ciepłe, gęste bajoro, w którym zanurzały się bieżniki opon.

Samochód kilkakrotnie cofał i ruszał do przodu wałkując niemilosiernie ciało leżące na chodniku i stemplując płyty chodnika w długie, czerwone wzory, jak łańcuchy pętające więźnia. Jakby to przez nie właśnie, przez te krwawe stemple, człowiek na trotuarze nie mógł się już ruszyć, nie mógł uciekać, jakby to one wyznaczały wokół niego granicę, której przekroczyć nie wolno.

Studenci stojący po drugiej stronie ulicy nie zdołaliby dosłyszeć trzasku pękających kości, nie słyszeli go również dwaj mężczyźni w dziupie, zresztą, i tak zagłuszyłyby go ryk silnika. Na wszelki wypadek pojazd raz jeszcze przejechał po znieruchomiałym ciele. Potem znów wycofał, i znów... Młodzi ludzie myśleli, że to już koniec. Przecież ich kolega był już martwy. Czego

jeszcze chciał ten maniak w czarnym dżipie? Przecież nie można sprawić, by zabity człowiek był jeszcze bardziej martwy, niż w chwili śmierci. Po co tak masakrować ciało? Nawet jeśli to jakaś makabryczna zemsta, on tego już i tak nie czuje...

Jednak kierowca dżipa najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Z rykiem silnika walcował zwłoki z niebywałym wręcz uporem, a przerażonym studentom obserwującym tę krwawą scenę z boku, zdawało się, że trwa ona całą wieczność.

Leżąca na chodniku nieruchoma materia coraz mniej przypominała człowieka. Tylko dlatego, że dały się jeszcze widzieć fragmenty czerwonej od krwi tkaniny ubrań, które miał na sobie zabity.

Jedna z dziewcząt, rudowłosa Cathy, zemdlała i osunęła się na chodnik. Nikt z przyjaciół nie zdążył jej w porę złapać, więc uderzyła głową w betonową płytę. Tkwili tam jak sparaliżowani. Być może wcześniej była szansa, by zdołali uratować swojego kolegę, wyciągnąć go spod kół potwornej, śmiercionośnej maszyny, jednak człowiek w takich sytuacjach nie zawsze myśli trzeźwo. Niecodziennie się zdarza, żeby bliskiego przyjaciela rozjechał dżip w biały dzień, w samym środku kampusu studenckiego. Kto będzie na tyle mądry i udzieli wskazówek postępowania na wypadek takiej sytuacji?

Czarnowłosa piękność, Margareth, zgięta w pół cofnęła się o kilka kroków i targana spazmami wymiotowała przysłonięta żywoplotem. Jeden z przyjaciół, blondyn, gdy nieco ochłonął i zdał sobie sprawę z tego, co dzieje się na jego oczach, w pierwszym odruchu zerwał się jakby chciał się rzucić na pomoc, lecz drugi, krótkowłosa, powstrzymał go żelaznym uściskiem dłoni na przedramieniu. Przecież i tak nie mogli mu już pomóc. Ich

kolega leżał tam martwy, nieruchomy, a dżip niemiłosiernie miażdżył jego szczątki jeżdżąc po chodniku w tę i z powrotem, walcował je niemiłosiernie tak, że w ciągu kilku minut na ich oczach to, co pozostało z Waldka przestało w ogóle przypominać ludzkie zwłoki, a stało się jedną wielką, czerwoną, rozmazaną na chodniku mokrą plamą. Betonowe płyty szybko spięły świeżą krew, toteż kałuże równie szybko zniknęły z powierzchni trotuaru. O tym, że ta kupa materii organicznej jeszcze niedawno była żywym człowiekiem, świadczyły już tylko walające się wokół purpurowe, kaszowate strzępy wyrwanych narządów wewnętrznych, wywleczonych z otwartej bieżnikami opon jamy otrzewnej. Długie zwoje jelita cienkiego z widoczną w środku ciemną, papkowatą treścią, wylewającą się przez liczne perforacje, tworzyły na chodniku ciemniejsze smugi pośród jednolitej barwy krwi. Regularne przewężenia jelita grubego, pomimo sierpniowego skwaru Florydy, nieuchronnie przywodziły na myśl łańcuchy choinkowe, jakie niegdyś wytwarzano w każdym polskim domu przed Wigilią. Sflaczałe kawałki postrzępionej skóry walały się w nieładzie, całkowicie zatopione w zakrzepłej krwi, niczym brudne prześcieradło niedbałej kobiety podczas obfitej menstruacji. Z trudem przyszłoby nawet określenie, gdzie dokładnie znajdowała się kiedyś twarz Waldemara Kuklińskiego, ale prawdopodobnie należałoby jej szukać tam, gdzie pośród krwi rozlewało się nieco białoszarej galarety, która też zdążyła już przybrać koralowo-krwisty odcień. Tylko wyobraźnia podpowiadała, iż niegdyś znajdował się tam mózg! Wobec tak nędznego widoku trudno było komukolwiek uwierzyć, że ta plazmowata, bezkształtna substancja określała kiedyś całą istotę człowieka myślącego.

Takiego zmasakrowania ciała nie można dokonać przypadkiem. To już nie było tylko zabójstwo z premedytacją, lecz perfidna profanacja zwłok.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Drzwi samochodu się otworzyły, i wtedy, przez kilka sekund czworo przyjaciół miało okazję zaobserwować jednego z pasażerów upiornego pojazdu. (Faktycznie tylko dwóch młodzieńców mogło obserwować, gdyż rudowłosa Cathy wciąż leżała nieprzytomna na chodniku, a Margareth, odwrócona plecami, wymiotowała w krzakach.) Mężczyzna ubrany na czarno, z twarzą zasłoniętą kominiarką, wyskoczył gwałtownie z dżipa, podbiegł do szczątków Waldemara, pospiesznie rzucił okiem, jakby chciał się upewnić, czy chłopak aby na pewno nie zmartwychwstał jak Feniks z popiołów, po czym równie gwałtownie wskoczył z powrotem do samochodu, który odjechał z piskiem opon równie nagle, jak się pojawił.

Przedstawienie skończone.

Przyjaciele zabitego nie wierzyli własnym oczom i trwały to chwilę nim w ich umysłach zaczęły kiełkować pierwsze logiczne pytania: „Kto chciałby celowo zabić Waldemara Kuklińskiego, a potem w biały dzień, na oczach świadków zmasakrować jego ciało? Co miał na celu zabójca? Czy to jakaś zemsta? A jeśli tak, to za co? A może ostrzeżenie, a więc dla kogo i przed czym?”

Czoło chłopaka o blond włosach nagle pokryły perliste krople potu. Przecież ojciec tej ładnej brunetki, Margareth, jest zdaje się jakimś oficerem w tajnych służbach. Dziewczyna nigdy o tym nie mówi, niby taka delikatna, wymiotuje na widok krwi, ale to na pewno tylko przykrywka. Jej koleżanka, Cathy,

przynajmniej zemdlą, wszyscy widzieli jak uderzała głową o chodnik, tego żadna dziewczyna nie może udawać, za bardzo boją się bólu, brzydkich guzów i siniaków... Nagle chłopak chwycił się za brzuch i w panice pobiegł w stronę krzaków, gdzie wcześniej wymiotowała jego koleżanka. Pozostałości wśród świeżo przystrzyżonej trawy świadczyły niezbicie, że Margareth jednak nie markowała torsji. Chłopak nie zdążył dopaść krzaków i po drodze zanieczyścił sobie buty.

Przecież i on próbował bałamucić Margareth, ba! – podczas jednej z imprez nawet wylądowali razem w łóżku, ale kto by się tym przejmował, skoro na kampusie wszyscy bawili się ze wszystkimi i nikt nie robił z tego wielkiej afery. Zresztą, piło się tyle, że nietrudno było zapomnieć co i kto obiecywał komu w chwilach uniesień. Nie mogąc się pozbyć widoku własnego ciała rozwałkowanego na krwawą miazgę przez koła samochodu, chłopak wił się w bolesnych skurczach biegnących od żołądka do przełyku. Czuł, że nogi ma jak z waty, a w głowie wszystko mu faluje, niczym jacht targany kapryсами fal oceanicznych. Gdy otwierał oczy rozpaczliwie usiłując zachować kontakt z rzeczywistością, widział tylko wielką, gęstą kałużę własnych wymiocin, pokrywającą w dużej mierze powierzchnię tej, która znajdowała się tam uprzednio. Dostrzegał to, gdyż różniły się kolorystycznie; to, co zostawiła Margareth było raczej czerwono-pomarańczowe, jakby od jakichś owoców czy warzyw. Jego niestrawione resztki to białe-różowo-zielona masa kanapek z szynką i sałatą. Razem przypominało to plamę olejną Wasyla Kandinsky'ego, ale oczywiście amerykańscy studenci nie mogli mieć o tym pojęcia.

„Jakie to jednak, kurwa, romantyczne! Nawet nasze wy-

miociny muszą zawsze się szukać i odnaleźć! Pierdolone papużki-nierozłączki...” – zdążył jeszcze pomyśleć nim całkiem odpłynął.

\* \* \*

Dżip zniknął równie nagle jak się pojawił. Nadspodziewanie szybko zjawiała się też policja, zupełnie, jakby funkcjonariusze tylko czekali przyczajeni tuż za rogiem, aż kierowca czarnej terenówki ukończy swe upiorne zadanie, by dopiero wówczas, zgodnie z jakąś niepisaną umową, wkroczyć do akcji.

– To powiadacie, że zabity nazywał się Waldemar Kukliński...? – skonstatował jeden z funkcjonariuszy wyciągając notatnik służbowy.

Czwórka przyjaciół spojrzała po sobie ze zdziwieniem, gdyż żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć, żeby ktokolwiek wymieniał przy policjantach nazwisko kolegi. Jednak wszystko można było wytłumaczyć stresem. Człowiek w szoku mówi różne rzeczy, a potem nic nie pamięta.

– Nie... to znaczy taaaak... to znaczy, nic takiego nie mówiłem – zaczął się jąkać jeden ze świadków przeczesując palcami jasną czuprynę.

– Jak nie Kukliński, to kto to według was jest? – funkcjonariusz zmarszczył groźne krzaczaste brwi, wbijając wzrok w twarz zagubionego młodzieńca.

– No... zgadza się, to jest nasz przyjaciel, Waldemar Kukliński, tylko że... tylko że ja... ja nic takiego nie...

– Imię się zgadza, nazwisko się zgadza, wiek? – przerwał zasadniczo policjant.

Choć nikt nie odpowiedział na pytanie, funkcjonariusz skrętnie odnotował „prawidłową odpowiedź” w notesie. W krępującym milczeniu młodzi ludzie próbowali zwilżyć zaschnięte gardło przełykając ślinę, a spocone dłonie wycierali w materiał spodni i T-shirtów. Cathy, wciąż jeszcze blada po odzyskaniu przytomności, wspierała się niepewnie o ramię przyjaciółki. Potem, niepomna na białą spódniczkę z falbankami, usiadła na zakurzonej krawężniku i palcami dotykała wielkiego guza z tyłu głowy, którego nabiła sobie upadając.

– Widzieliście dokładnie ten wypadek? – zapytał w końcu drugi funkcjonariusz, nieco chłystkowany z wyglądu, zdaje się świeżo po szkole policyjnej, bo jeszcze chciało mu się zadawać pytania. – Widzieliście, że to właśnie Kuklińskiego przejechał samochód? Że to był on, nikt inny? Może tylko wydawało wam się, że to był on? Z jakiej odległości obserwowaliście wypadek?

– McGourthy, daj ludziom spokój, widzisz, że są w szoku! – upomniał go krzaczastobrewy. – Zresztą, to nie przesłuchanie, na to jeszcze przyjdzie czas. A może i nie... teraz lepiej skoczyłbyś po jakąś wodę czy colę, przynajmniej byłby z ciebie wreszcie jakiś pożytek! Przecież gorąco tu jak w piekle! Wszystkim nam w gardle zasycha! Patrz, taka ładna dziewczyna usycha z pragnienia na krawężniku... heheh-heh...

Chyba wydawało mu się, że był zalotny, bo obleśnym językiem zwilżył grube wargi i cmoknął do rudowłosej Cathy, która zaraz z obrzydzeniem odwróciła wzrok.

– Na miłość boską! Żyjemy przecież w państwie prawa! Znajdźcie ich! Macie przecież samochód, dlaczego nikt za nimi nie jedzie?! Pamiętam numery rejestracyjne! Jesteście przecież policją! To był obywatel amerykański, jego rodzina płaci na



was podatki! Poślijcie tych morderców na krzesło elektryczne! God sake, zabili człowieka...! – blondynek ogarnięty napadem hysterii przestał krzyczeć, opadł bezwładnie na krawężnik i zaczął szlochać klęcząc i waląc pięściami w beton.

Policjant udawał, że tego nie zauważył. Wyciągnął nadajnik.

– No i jak tam, znaleźliście coś? – zapytał jakby od niechcienia.

– Dwie przecznice od ciebie. Dżip na kradzionych tablicach, czarny, przyciemniane szyby, porzucony. Nasi eksperci dopiero tam jadą, ale zdaje się, że jest czysty, znaczy się, żadnych śladów.

Uśmiechnął się pod nosem triumfująco. Nie musi nigdzie jechać, robić żadnych pościgów, można siedzieć i gapić się w biust rudej Cathy.

– Dzięki stary, bez odbioru.

Przetoczył wzrokiem po twarzach młodych ludzi, jakby chciał im okazać swoją wyższość. Wyprostował się, pomimo upału dopiął guzik munduru pod samą szyją, zupełnie jakby całą postawą bezgłośnie mówił: „Spójrzcie, jacy jesteście bezradni! Nic nie potraficie, nic nie wiecie, nic nie możecie! Wystarczyło, że się zjawiłem i już wszystko jest rozwiązane”.

\* \* \*

– Co wy mi tu dajecie? Znowu Kukliński?! Ilu Kuklińskich może tak ginąć w wypadkach? Więcej ich matka nie miała?! – krzyczał komendant, któremu dwóch policjantów przyniosło raport w sprawie przejechanego chłopaka.

Normalnie mogliby złożyć papiery na biurku, gdy akurat wyjdzie na lunch, jednak nauczeni doświadczeniem, woleli uczy-

nić to osobiście. Komendant zawsze miał jakieś uwagi, a lepiej było wysłuchać ich od razu, niż czekać, aż narosną od nich „procenty.”

– To... syn Ryszarda i Joanny... imigrant, z Europy Wschodniej... zdaje się, polskiego pochodzenia... – wybąkał niepewnie brzuchaty funkcjonariusz, który nagle stracił zwyczajną pewność siebie.

– Wiem, kurwa, czego mi tu pierdolicie farmazony?! Brat Bogdana Kuklińskiego, pół roku temu prowadziłem jego sprawę! Jeszcze nawet nie zakończyłem... – odburknął komendant z nogami na biurku.

Mruczał coś do siebie pod nosem, coś jakby: „doświadczony nurek, ratownik na Alasce, kurwa, a utonął kiedy nawet sztormu na morzu nie było... zostawił żonę, dziecko... syna nawet... wypłynął w rejs z nieżyjącym kumplem...”

Zapalił papierosa i zaciągnął się z lubością kompletnie ignorując stojących przed nim na bacność podwładnych. Nie pozwolił im jednak odejść. Najwyraźniej widok skrępowania podwładnych, nie do końca rozumiejących sens tkwienia na bacność przed jego biurkiem, sprawiał mu przyjemność.

– Jak to pan nie dokończył tej sprawy...? – zapytał nieśmiało młodszy z funkcjonariuszy, na co starszy szturchnął go znacząco i zmarszczył brwi – jakby chciał go upomnieć, że jego nieostrożne pytania tylko rozjuszą pryncypała i obaj dostaną burę.

Komendant nie wyglądał na zaskoczonego pytaniem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak w tym momencie zadzwonił służbowy telefon.

– No bo mnie, kurwa, przenieśli, to i nie dokończyłem! – odburknął w końcu.

Mruknął coś pod nosem wyraźnie niezadowolony i wyciągnął rękę po słuchawkę.

– Halo.

– Komendant Wilson? Ralph Wilson? – zapytał głos w słuchawce.

– Tak, a kto mówi? – zdziwił się.

– Ciebie akurat nie powinno to interesować! – odpadł zasadniczy głos po drugiej stronie światłowodu, co wbiło komendanta Wilsona w fotel. – Mam ci tylko do powiedzenia, że jak będziesz tak dalej miał ozorem, to znajdzie się na twoje miejsce ktoś bardziej odpowiedni. Pilnuj też swoich ludzi, żeby niepotrzebnie nie robili szumu...

– Ale o co...? – zaczął nagle tracąc zwykłą pewność siebie.

– Kurwa, Wilson, czy ty jesteś dzieckiem, czy tylko udajesz głupiego? Bo z nas idiotów nie zrobisz, nawet na to nie licz! No weź się rozejrzyj, co tam masz teraz na biurku?! Sprawa Kuklińskiego. Właściwie obu Kuklińskich ci się trafiło mieć na biurku. Myślisz, że to przypadek? Jeśli planujesz dożyć do emerytury, to lepiej daj se spokój i bardziej się tym nie interesuj...

– Czy to jest szantaż...?! – zapytał nagle pobladły komendant wycierając pot z czoła i podnosząc wzrok na podwładnych w obawie, że widząc go w takim stanie całkiem stracą do niego respekt.

Ci jednak nasłuchiwali dyskretnie ze wzrokiem wzbitym w czerwoną wykładzinę, chociaż na słowo „szantaż” drgnęli nieznacznie. Wilson spojrział żeby sprawdzić, czy podwładni usłyszeli ostatnie zdanie, ci jednak udawali wzorowo.

Głos w słuchawce niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Ty chyba Wilson naprawdę nie wiesz, z kim tańczysz!

Wyjdziesz sobie za miasto, na piknik, zabierz jakąś fajną dupę... zapłacimy ci nawet za motel, żebyś miał coś od życia. Żonie powiesz, że jedziesz służbowo, to jeszcze upiecze ci ciasto z dynią jak wrócisz do domu. Ha-ha-ha, taki mały prezencik od kolegów z nadrzędnego resortu! Pod warunkiem, że będziesz grzeczny. I dobra rada: trzymaj się z daleka od tych spraw, bo za mały jesteś, żeby się z nami mierzyć. Cześć!

Komendant odłożył słuchawkę i zmierzył chłodnym wzrokiem podwładnych, jakby tym razem miał do nich pretensję, że wciąż tam stali, choć zazwyczaj lubił przeciągać proces składania raportu w nieskończoność.

Jako komendant oczywiście nie miał obowiązku nikomu się tłumaczyć, jednak teraz drażniło go, że czuł na sobie ich pozornie dyskretny, pytający wzrok. Pierwszy raz w życiu pożałował, że nie postąpił wbrew przyzwyczajeniom, choć wcześniej już miał przeczucie, że kroi się coś niedobrego, co może położyć się cieniem na jego karierze. Zostało mu zaledwie pięć lat do emerytury, byłoby głupotą ryzykować święty spokój dla jakiegoś głupiego incydentu, w dodatku z imigrantami z Europy Wschodniej w roli głównej.

– Polacy, kurwa... – westchnął w końcu podnosząc wzrok na stojących policjantów i zaciągając się tak mocno, że papieros momentalnie stopniał w jego palcach. – Szalony, dziki naród, nawet umrzeć nie potrafią normalnie, tylko muszą jakoś tak dziwacznie. Kto im, kurwa, kazał przyjeżdżać i zdychać tutaj...? – zacisnął zęby, bo i tak już powiedział za dużo.

Doskonale pamiętał sprawę sprzed pół roku. Tamten chłopak, młodszy brat przejechanego, Bogdan Kukliński znaczy się, rzekomo zginął w Sylwestra zeszłego roku. Wyłynął w rejs